**JASKINIA WIERNA**

Jest ci niedaleko ruin ostrężnicki warowni dziura we skale wapiynny. To jaskinia, co sie Wierna nazywo. A to mówią najdłuższo jurajsko jaskinia, ponoć wiency niż kilometer tych korytarzy mo. Niskie niektóre, ciasne, a pokrencone! Studnie som przepastne, załomy. Jak kto po jaskiniach chodzić nie umi, niech tam nie włazi, bo życie stracić może. Mo ci ta jaskinia swojom tajemnice co się w nazwie kryje, czymu ona Wierna.

Czasy to były takie, że naszy Polski nie było na żodny mapie. Rozdropali nom Ojczyzne miendzy siebie Prusoki, Austryjoki i Ruskie. A że żodyn złodziyj drugiymu złodziejowi nie wierzy, to zawdy dbali żeby wojska mieć wiency niż tyn drugi.

A skond tego żołniyrza brac? Nojlepi z tych wsi, co jenczały pod obcem butym! I brali! Przyjyżdżali chyłkiym do wsi ziandary, kozoki, dragony i brali młodych chłopoków, czy który chcioł czy nie. Jak który trafił do niymców czy austryjoków, całe dziesiyńć roków musioł odsłużyć, a u ruskiych to dwanoście aże! Okropno to służba była! Pastwili się nad niemi oficery, hy, bele frajter, czy starszyna po pyskach za nic ich proł, kijami kary wymiyrzali, areśty sypali, bo to Poloki! To jem te wojoki uciykali jak ino się dało, dezerterowali, bo to tak się po wojskowymu nazywo. Ino jak takigo dezertera chycili, to najsampiyrw przywiązywali do słupa i siekli batami prawie do zabicia, a potym pod ściane i kula w łeb! Po to tak robili, żeby inni się uciekać boli.

Ale niejedyn woloł próbować – niech mie chycom, niech ubijom, skuńczys ie ta moja gehynna, wolny bede. Tako to była ta wojskowo służba! I stało sie tak, że trzech takich uciekinierów - „dezynterów”- jak na nich chłopstwo mówiło, znalazło sie tutej i kryjówke se w jakini pobok Osteżnika zrobili. Zaroz ta ich miejscowe wykryli, ale przecie choć poznali po łachach wojskowych kto uni, to zlitowali sie – przecie nijedyn syna mioł w obcym wojsku to myśloł, jak jo pomoge, to ta może i mojego kto wesprze w obcem świecie. To ich żywili po cichu. Te dezyntery siedziały cicho, nikomu nie wadzili, ale i pomogali po zagrodach, za pajde chleba, miske kaszy. Dziewuchom tyż raźni było, przecie młodych wsi pobrali, to chociaż miały z kim pośmiać się czy potańcować.

No i jedna panna z Trzebniowa upatrzyła se takigo z tych dezynterów. Wzieni sie ku sobie, ojce nic przeciwko nimieli, bo robotny był, na gospodarce sie znajęcy, to myśleli – roki mu się skuńczom, szukać go przestanom, weznom cichy ślub i będzie ziyńć!

Ale znaloz sie zawistnik co wyzdradził że te dezyntery tu siedzom. Przyjechały kirysjery z koszar z Koziegłów i szukali ich, ale nie naszli. To tom dziewczyne wzieni, zaczeli jom wypytywać gdzie tamci siedzom. Nie chciała powiedzieć, zaczeli jom bić, męczyć, tyż nie powiedziała! Tak tego biydoka kochała! Dopiyro jak wzieni się za matke, za ojca, to obiecała że ich do ty kryjówki zaprowadzi.

No i pośli. Prowadziła ich od Trzebniowa, ściyżkom pobok Wilczy Góry, bo tam był taki tajny znak – kamiynie w stos poskłodane. Starczyło je trącnąć a z hurgotym się posypały i dawały sygnał że obcy idzie. Udało sie dziołsze sygnał podać, ino że tamci za późno z jaskini wyleźli, kirysjery ich zoboczyli i dawaj szczylać do nich!

Ale nie trafili, udało sie tym chłopokom uciyc. Z ty złości zaczeni okropnie bić dziewczyne, tak bili że na śmierć zabili. Zawlekli nieboszczke do ty jaskini i tam do głemboki dziury wrzucili. Jeszcze się wrócili do wsi i chałupe rodzinnom panny spolili ze zymsty.

Jak odjechali kirasjery, ludzie wyjeni biydoczke z jaskini, pomodlili sie nad niom i pochowali w poświęcony ziemi, boć przecie chrzczono była. No i o ty jaskini zaczento mówić że to tam te wiernom dziewczyne ubili i tak sie Wiernom ostała do dzisiaj.

Te dezyntery już sie nie pokozaly,pewno innom kryjówke znaleźli, a chałupa tego zdrajcy się spoliła, ponoć podpolił tyn kochanek ubity panny.

Opracował i spisał Zdzisław Adamczyk

Grand Prix

Regionalnego konkursu legend, baśni i podań „Legendy Jury” 2019

**O ŚWIECZNIKU Z ŁUTOWCA**

Za zaborów to było. We wsi Łutowiec miyszkoł ci chłop, Zawadka na niego mówili, bo takie powiedzynie mioł że jak mu co wadziło – ot zawadka!mówił.

Rodzina to była, matka, łociec i synów trzech było. Razym pola obrobiali, od małygo uczyli się roboty wiejski, łociec tam krótko ich trzymoł, na zbytki czasu ni mieli! Tymu najstorszymu to już szesnosty rok szed, już ta mu cosik pod nosym kiełkuwało – ot kawalir! No i kiedysi, zmowiali się takie młode, żeby na zabawe do Młynów iść, z dziewuchami potańcować, troche innygo świata użyć.

To i tyn młodziok od Zawadków tyż chcioł iść. Prosił łojca żeby go puścił, ale nie chcioł się zgodzić. Żol się matce zrobiło:

* A puśże go! Inne idom a nasz to gorszy? Co un garbaty abo ślepy? Wstydzisz sie go że tak w chałupie kryjesz
* Nie wstydze sie, ino przy taki okazji to i wina jakigo chłopoki rade popróbować, tytuniu! A na to jeszcze czas mo!
* Un nie weźnie tego, tak chowany że wiy co złe! Puśże go!

Tak sie za nim wstawiała, że zgodził sie. Jeszcze ,że chłopoka buty, nie za ładne były, swoich mu użyczył, przykazując żeby uważoł na nie. Wystroił sie młody, nakazów od matki i łojca nasłuchoł, no i z kolegami do Młynów poszed.

Na zabawie jak to na zabawie, chłopoczysków z różnych wsiów sporo było, wiency niż dziewóch do tańcowania, nie dziwota że nojpiyrw se dogadywali a późni i do bitki doszło. Tych z Łutowca gorstka była, nie zostało nic innygo jak ino wioć, jak ze dwódziestu łobcych ich dosiadło. Ratuwali się jak mogli, tamci im droge zastawili, to bez pole, bez łąke.

A nie wiedzieli, że tam rzeczka płynie, że nie łąka to ino bagnisko, szuwary turzyca tam rosła, ale przecie jakoś sie przedarli. Tamte ustąpiły, to już spokojnie ku Łutowcowi pośli. Naroz – czekojta! - tyn od Zawadki woło:

* Chłopoki, jak my bez te bagno lecieli, tom buta zgubił! Teroz widze że ino lewy się. ostoł!
* Hy to już po bucie!Lewygo tyż zdymnij i na bosoka doleziesz.
* Wróćmy sie i pomóżta mi go szukać!
* Żgupłeś? Teroz, po nocy chcesz buta znalyź? Jeszcze nie wiadomo gdzie szukać, toć my na ślepo gnali! Ostow to!
* Ni moge! Buty ojcowe były! Pożyczył ale powiedzioł, że mie ubije jak tym butom co będzie!
* A mało to łojciec czy matka tak mówiom! Gdzie by tam cie zabił. Powrozym dupsko zesiecze i tyle! Co to, piyrszy roz bicie weźniesz?
* Jo słowo mu doł, że te buty takie same mu oddom, jakie wzionem. Bez buta jo do wsi nie ide!
* To co poczniesz?
* Poczekom aż się zedni i szukać zaczne.
* Juści znajdziesz! Toć tam błocko do kolan my mieli! Teroz wodom ślady podeszły! Jak poznosz które twoje? Odpuś se!
* Nie! Powiydzta moim że późni przyjde! Ino o butach nie mówcie!

No i tak się rozeszli, chłopoki ku Łutowcowi poszli a un zostoł szukać. Przecie, że nie znaloz! To umyślił że we świat pódzie, grosz jaki zarobi i łojcu buty sprawi, jeszcze ładniejsze niż potracił. Ino że nie tak łatwo o robote było. Po wsiach, za parobka takich młodych brali, ale za miche, za dach nad głowom. Nikt piniendzy nie dawoł, bo go na wsiach mało było.

Przemyśloł, że w mieście szybci będzie, przemysł jes. Ano prowda, ino że

trza co umieć, a przecie tylko gospodarskom robote znoł. A i utrzymać sie trza, kwatere zapłacić, jakie jadło kupić! Tak ci było.

I tak ty roboty coroz dali i dali szukoł, aże mu zeszło pińć roków. A co niedoli bez tyn czas zaznoł, głodu, biydy sie nałykoł, mówić szkoda. Ale dopion swego, buty kupił galante, matce, braciom gościńce tyż mioł, jak we swoi wsi sie pojawił. Ino że ty wsi już nie było!

Widzioł ino ruiny popolone miasto chałup, połomane płoty, obejścia ostym, piołunym a łopuchami zarosłe i ni człeka, ni psa czy kota – pusto. Co tu sie stało i włosy na głowie rwoł. Znaloz miejsce gdzie chałupa Zawadków stoła i to samo tam – ino troche kamiyni z obmurówki, z kumina zostało, jakieś stare wiadro pordzewiałe i dziurawe, tyle!

Ni sie kogo wypytać, no co tu robić. Siod na kupie gruzu, rozpacz go wziena okropno, łzy mu się puściły i tak siedzioł cały otympiały. Naroz dotarło do niego, że słyszy coś – wsłuchoł sie. Dzwony słychać! Poderwoł sie -że o tym nie pomyśloł! Toż do kościółka mu trzeba, toż proboszcz wiedzioł bedzie co sie w parafi dzieje!

Polecioł, ale z Łutowca do kościoła w Niegowie tak blisko nie jes, nim dolecioł, to msza się skuńczyła, ale dobrodziej jeszcze w zakrystii był. Klynknył przed ksiyndzym, tyn to som był, co go zapamiyntoł przecie!

* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
* Na wieki wieków! - odpowiedzioł kapłan i obrócił się ku niymu.
* Co żeś ty za jedyn? Nie znom cie!
* Jo jes od Zawadków z Łutowca.
* Nie pleć mi tu! Z Łutowca żaden się nie uchował! Czego chcesz?
* Zno mnie ksiądz! Jo jes Heniek! Przecie tu chrzczony byłem, ksiądz mi Piyrszą Kumunije dawoł, biyrzmowoł mie ksiądz! To jo!
* Heniek mówisz od Zawadków? Toś ty jest ten co za butami poszed?
* Ten som! Księże proboszczu, a co w Łutowcu sie stało?
* Wróciłeś! Oj zeszło ci za tymi butami chłopcze, zeszło!
* Wróciłem, ale nie wiym do kogo czy do czego! Pogorzelisko tam!
* Wiem! Teraz ze mną pójdziesz, kolację ze mną zjesz boś z drogi.
* Jakże mnie wieczerzać z księdzem dobrodziejem?

Zabrał go ksiądz, najpierw nakarmił, o jego losy popytoł, aże uspokoił go troche i smutną historię Łutowca opowiedział.

Przybył do wsi oddział jegrów austriackich,rzekomo kłusowników szukać, ale podpici byli i zwady ino szukali. Wzieni się do kobiet, a upatrzyli sobie młodą mężatkę i dawaj z nią swawolić. Jej mąż, kawał chłopa skoczył na pomoc, paru pyski obił, ale kolbą bez łeb mu dali że krwią się zalał. Nie ustąpił, brat jego tyż doskoczył i bili się. Tamte jednak bagnety wzieni, kłuć zaczeli że obu ubili. Sołtys jął ich hamować, to tyż go zadźgali! Tako wściekłoś ich naszła że zaczeni wieś polić, ludzi kolbami prać. Wszystkich zebrali i do Żarek pognali. Tam wozami wywieźli na kolej, a koleją na sądy, że wieś bunt podniesła, żołnierza ubiła, czterech poraniła przez to pacyfikacje zrobili. Chłopski prowdy nikt słuchać nie chcioł. Pono wywieźli ich jako buntowników

w cesarski kraj, ale gdzie, nikt nie wiy.

- Co mi robić teraz księże proboszczu?

- Teraz to spać pójdziesz, tu w kancelarii na ławie, zawsze to lepiej niż tam na pogorzelisku. Może noc dobrą radę przyniesie.

Długo usnąć ni mógł o nieszczęściu myśloł, a jak już usnął to jak kamiyń ledwo go ksiądz rano dobudził. Wstoł z postanowiyniym, że pódzie szukać swoich we świecie. Pokiwoł ksiądz głowom i rade mu doł, żeby na kolei wypytoł, ktoś przecie pamiento, nie codziyń całą wieś wywożą.

Tak poszed z plebanii i nikt wiency go nie widzioł. Dowiedzioł się ksiądz że był na kolei, może jakiś ślad znaloz bo w pociąg wsiod i pojechoł.

Skuńczyły sie zabory, Polska nastała, zaczeni nowe ludzie na Łutowcu chałupy stawiać, bo miejsce dobre, grunty tyż wypoczente. Tak jakoś za sanacji,jak tyn czy drugi mówić poczeli że jakoweś światełko na Łutowcu za ludziami bierzy, a późni się traci. Nawet jak dyszcz czy śniegiym pierze, czy wietrzysko, że mało łba nie urwie, to ogiyniek nie gaśnie. Obce przyjeżdżały i dziwiły się tymu.

Ktoś ta powiedzioł, że to Heńka Zawadki dusza, że pokutuje za swojom z Łutowca ucieczke. Że teroz dbo o łutowioków i do domów ich odprowodzo, ode złego pilnuje. I przestoli się tego świecznika boć, bo nigdy nikogo nie postraszyło, a zawdy ino za tutejszymi szło. Rozeszła się po kraju ta nowina ,przed wojnom to nawet profesory akademiki przyjeżdżali żeby to pobadać. Mówili o jakisi żyłach wodnych, o elektryce co każdy w sobie mo. Nie na chłopskie to głowy takie mondrośći, kto ta na wsi za sanacji o elektryce, o prądach słyszoł! O duszach potempionych za to sporo przecie opowieści jes i to ludziom przypasowało. Ą świecznik do dzisiaj w Łutowcu droge oświyco, tyle że nikt już o Heńku Zawadce nie pamiynto.

Opracował i spisał Zdzisław Adamczyk

Grand Prix

Regionalnego konkursu legend, baśni i podań „Legendy Jury” 2019

TAJEMNICA WODNEJ GÓRY

Jak się przez Tomiszowice przejedzie jadąc na Ślęzany, to zaraz za wsią droga w lewo skręca, a w prawo węższa droga odchodzi, na Doły. Widać tam parę domów po prawej stronie tej drogi, a po lewej stronie spore wzgórze się wznosi, lasem liściastym porośnięte. Mówią na nie Wodna Góra, bo co parę lat, na zachodnim zboczu źródełko tryska, woda spływa do płytkiego jaru i na południe płynąc, po jakiś dwóch kilometrach rozlewa się na łące i wsiąka.

Tą dziwną zagadkę uczone głowy tłumaczą zjawiskiem krasowym, że woda z deszczów, z topniejących śniegów przesiąka przez glebę, a w środku góry podziemny zbiornik jest. Jak się napełni, woda przelewa się i tryska źródełko. Nadmiar się wyleje i zaś parę lat spokój, nie ma źródełka. Pewno to prawda, tyle że mieszkańcy tutejsi, zwłaszcza ci starsi inne rozwiązanie tej zagadki znikającego źródełka znają.

Otóż dawno, dawno temu, mieszkała na Dołach rodzina chłopska. Był ojciec, matka i czworo dzieci – dwóch synów i dwie córki. Spore to były dzieci, wielka poręka już z nich była, ale Bóg jeszcze raz pobłogosławił i piąte dziecko na świat przyszło, dziewuszka. Bardzo się wszyscy

cieszyli, a rozpieszczali je strasznie i hołubili. Wyrosła na śliczną dziewczynkę zachwycali się ludzie jej urodą i dziwili się że w chłopskiej rodzinie taka pięknotka się trafiła. Panna z niej jeszcze piękniejsza była – urodzona księżniczka, albo i królewna mówili widząc ją.

Tak ją to popsuło, w taką dumę wprawiło, że zaczęła się i po królewsku zachowywać. Do żadnej roboty na gospodarce się nie brała, żeby rączek białych nie poniszczyć, żeby słoneczko jej cery delikatnej nie popaliło. Prosiła matka, siostry – pomóżże nam – gdzie tam! Przecie sukienkę

zbrudzi, bluzeczkę uwala! To stare rzeczy załóż! Akurat! A jak jaki panicz bogaty będzie przejeżdżał, popatrzy to na takiego smolucha? Bo też tylko za bogacza wydać się chciała. Na miejscowych kawalerów ani nie spojrzała, ona dla innego przeznaczona!

Spała do późna, wstawała, jadła i brała się za robotę. To warkocze zaplatała, to włosy rozpuszczone czesała, wstążki wplatała. Później ubiór zakładała, piękny, świąteczny i siadała na ławeczce przed chałupą, czekając na tego bogatego panicza.

Ciągle też od rodziców nowych sukienek, korali, bucików, wstążek, spinek się domagała, chociaż już drugą skrzynię tym zapełniła. I kupowali jej, a drugie siostry w byle czym i boso chodziły. Do rączek tylko lusterko czy grzebień brała chociaż cała rodzina ciężko na gospodarce tyrała. I przyszedł dzień św. Andrzeja i ten wieczór magiczny, pełen wróżb i przepowiedni. Wołały ją dziewczęta do zabawy – nie poszła. Proste wiejskie przepowiednie z lanego wosku, czy z kłosów nie obiecają jej bogatego, chociażby i hrabiego, tu innej większej mocy trzeba!

Doczekała północy, chyłkiem na górę wyszła, co na wprost chałupy się wznosiła i prosto w niebo ciemne listopadowe zawołała:

* Chcę w pięknej komacie mieszkać, stroje bogate nosić, na srebrnych talerzach smaczne rzeczy jadać, słodkie bułeczki, zamorskie owoce!

Poszła spać, a gdy się obudziła- nie może to być! Oto w szerokim łożu, w miękkiej atłasowej pościeli leży, a łoże w przecudnej komnacie, nie w chłopskiej izbie, wapnem bielonej jest. Obok łoża na krześle suknia przepiękna, z boku lustro wielkie kryształowe! Zaśmiała się, ucieszyła! Szybko suknię zakłada, a ta jakby na nią szyta! Komoda pod ścianą, w jej szufladach wstążki, spinki, korale, ba nawet sznury pereł. Widzi sporą szkatułę – otwiera a tu pierścienie, bransolety, zauszniczki, diademy! Błyszczy złoto, lśnią drogie kamienie aż się w głowie kręci od tego! A tu stół pięknie zastawiony, frykasów pełno, tylko jeść! Pojadła i dalej do roboty – przymierzać, zmieniać, przekładać! Tak dzień jej zeszedł, zresztą – czy to dzień, czy noc-nie wiadomo, w komnacie zawsze widno było. Zmęczona spać się położyła. Wstała i od nowa do zabawy! Na trzeci dzień już ją to nie bawi, bo co się stroić jak nikt tego nie podziwia, nikt się nie zachwyca, komplementów nie prawi!

Już to jej obmierzło! Siedziała i grzebała srebrną łyżeczką w słodkich lodach, gdy zwykłą mysz zobaczyła. W chałupie brzydziła się myszami ale tu ją ucieszyło, że coś co znała, oto spotyka! Prędko ciasteczek nakruszyła myszy na spodeczku podsunęła, a ta – nie ucieka! Kruszków pojadła,

wąsy łapkami przetarła, na krzesełko obok dziewczyny chyc i ludzką mową zagadała:

* Dzięki ci piękne za poczęstunek. W zamian powiem tobie co i jak. Wszystko co tu widzisz, już teraz twoje na zawsze jest. Jakby ci czego zbywało, tylko zaklaskaj i życzenie powiedz, a spełni się!
* Już teraz mam jedno! Chcę się mojej rodzinie pokazać, pochwalić!
* A tego być nie może! To wszystko tylko dla ciebie i nikt inny zobaczyć tego nie może nigdy!
* To ja już tego nie chcę! Chcę do domu, do matusi, do tatka!
* Nic z tego! Już ty tego miejsca nie opuścisz, tego bogactwa, tych strojów bogatych, one już na wieki do ciebie należą a ty do nich! Tego przecie chciałaś!

Zaśmiała się mysz szkaradnie i zniknęła. Zapłakała dziewczyna żałośnie i płakała długo, długo w pięknej komnacie, a jej łzy właśnie jako źródełko tryskają. Zmęczy się dziewczyna płaczem to usypia i wtedy źródełko wysycha, Powiadają ludzie że jak długo wyschnięte jest, to mroźną i ciężką zimę wróży. I to się sprawdza.

To jeszcze powiadają, że jak się znajdzie ktoś, kto na Wodną Górę nocką świętojańską wyjdzie i zapłacze za dziewczyną, a żal szczery będzie, to góra pęknie, panna wyjdzie i jego będzie. Tyle lat przeszło, a nie znalazł się nikt, kto by popróbował. Myślę, że teraz u młodych inne myślenie jest. Nie żeby się bali, tylko jak ta panna taki szmat czasu tam w górze siedzi, to okropnie stara musi być, w dodatku w staroświeckie kiecki odziana. To gdzie się z taką pokazać! Mało to zgrabnych, młodych dziewczyn w miniówkach?!

Opracował i spisał Zdzisław Adamczyk

Grand Prix

Regionalnego konkursu legend, baśni i podań „Legendy Jury” 2019

MIŁOŚĆ MŁODEGO DENHOFFA I BARBARY

Było ciepłe, wrześniowe popołudnie. Włodzimierz Denhoff – syn Kacpra Denhoffa, ówczesnego założyciela Kruszyny, widząc zza pałacowego okna piękno wczesnojesiennych barw, postanowił wybrać się na konną przejażdżkę. Nie mówiąc nic ani ojcu, ani sługom wyruszył w stronę Borowna. Tam rozciągały się liczne pola uprawne i małe zagajniki. Skręcił w polną dróżkę i jechał powoli, podziwiając piękno natury. Rozglądając się, ujrzał drzewo, a pod nim skaczącą dziewczynę. Zadziwiła go owa sytuacja, dlatego postanowił sprawdzić, co się dzieje. Gdy już zbliżał się do drzewa, dziewczyna zauważyła go i znieruchomiała. Włodzimierz Denhoff zsiadł z konia i widząc jej przerażoną minę zapytał:

* Cóż zaś niewiasta tutaj wyprawia?
* Aaaantonówki zbieram – odpowiedziała wstydliwie.
* A dlaczegóż takie podskoki wyprawiała?
* Wszystkie owoce z ziemi wybrałam, a jeszcze na drzewie wysoko wiszą i nie da rady dosięgnąć – wytłumaczyła.

Denhoff spojrzał na dziewczynę. Twarz miała śliczną, młodą i dziewczęcą, głębokie zielone oczy i lśniące, grube włosy splecione w warkocz. Niewiasta od razu mu się spodobała. Wpatrywał się w nią przez chwilę. Następnie zaproponował pomoc. Wspiął się na potężną jabłoń i potrząsał gałęzią, aż spadły owoce. Dziewczyna ciągle była zakłopotana zaistniałą sytuacją i tym, że pomaga jej taki kawaler, jakim jest Denhoff. Gdy już zapełniła swój koszyk jabłkami, podziękowała Włodzimierzowi i chciała iść, lecz ten nie pozwolił jej dźwigać samej koszyka. Wziął owoce i odprowadził niewiastę do Bogusławic. W czasie drogi dowiedział się, że ma na imię Barbara oraz jest córką kowala.

Gdy wrócił do pałacu, był już wieczór. Usiadł ze swoim ojcem do kolacji, lecz nie rozmawiał z nim. Cały czas myślał o Barbarze. Niezwykle urzekła go jej uroda i skromność. Zauroczył się nią. Poszedł spać z myślą o tym, że jeszcze kiedyś ją spotka. Nazajutrz była niedziela. Młody Denhoff wybrał się na mszę do niedawno wybudowanego kościoła. Wychodząc ze świątyni, ujrzał Basię. Patrząc w jej stronę, uśmiechnął się. Dziewczyna widząc go, nie miała już przerażonej miny. Twarz jej opromieniała na widok młodzieńca. Nie mogli ze sobą porozmawiać – Barbara z ojcem poszła w stronę Bogusławic, a Włodzimierz do pałacu. Po tym spotkaniu Denhoff jeszcze częściej myślał o Barbarze. Chodził zamyślony całymi dniami, co zauważył jego ojciec oraz sługi. Na książęcym dworku pojawiły się nawet plotki, że młody Denhoff się zakochał.

Kilka dni później Włodzimierz udał się do karczmy. Znajdowała się ona w połowie drogi do Bogusławic. Młodzieniec bardzo lubił spędzać czas z mieszkańcami Kruszyny oraz pobliskich wsi. Wchodząc do karczmy, zobaczył grupę biesiadujących mężczyzn. Postanowił do nich dołączyć. Przedstawił się i ku swojemu zdziwieniu okazało się, że znajduje się w towarzystwie ojca Barbary. Ten ochoczo prowadził rozmowę i opowiadał najróżniejsze historie. W pewnym momencie temat rozmowy zszedł na jego córkę:

* To moje dziewczę to chyba zakochane! - powiedział żartobliwie.
* Skądże takie przypuszczenia? - zapytał jeden z biesiadujących.
* Chodzi ino rozkojarzona i cały czas owoce chce rwać – odpowiedział.
* To dobre i mądre dziewczę, pewno znalazła kogo poczciwego – dodał.

Włodzimierz, słysząc tę rozmowę niezwykle się rozweselił. Nie chciał zdradzać, że to on podoba się Barbarze. Porozmawiał z mężczyznami i wrócił do pałacu.

Następnego dnia wyruszył w stronę Borowna, poszukując Barbary. Spodziewał się, że dziewczyna może tam być i na niego czekać. Nie mylił się. Barbara znów zbierała antonówki. Włodzimierz i tym razem pomógł Basi zbierać owoce i odprowadził ją pod dom. Tak spotykali się codziennie, a ich uczucie rosło. Książę Denhoff nadal nie wiedział o miłości syna. Włodzimierz nie chciał mówić ojcu o swoim uczuciu do córki kowala. Wiedział, że nie pozwoli mu na związanie się z Barbarą. Wrześniowe dni płynęły. Wszystkie owoce z polnych zagajników zostały wyzbierane przez Włodzimierza i Basię. Pewnego dnia, pod najpiękniejszą antonówką wyznali sobie miłość i przyrzekli, że będą się kochać ,aż do śmierci i przezwyciężą wszystko.

Tego dnia ciemność zapadała szybciej niż zwykle. Włodzimierz odprowadził ukochaną i udał się do pałacu. W czasie drogi zaczął rozmyślać nad tym, jak powiedzieć ojcu, że zakochał się w Barbarze. Wiedział, że chwila prawdy kiedyś będzie musiała nadejść. Wiedział również, że on i Basia darzą się ogromną i bezgraniczną miłością. Gdy wrócił do pałacu, kolacja już trwała. Dołączył do ojca. Książę zatroskany o swojego syna zaczął wypytywać, gdzie podziewa się popołudniami. Włodzimierz postanowił wyjawić prawdę. Powiedział, że na zabój zakochał się w córce kowala i nie zna drugiej tak wspaniałej niewiasty. Książę Denhoff niezwykle wściekł się na syna. Nie chciał, aby związał się z osobą z niższych warstw społecznych. Zakazał Włodzimierzowi dalszego kontaktu z Barbarą. Młody Denhoff zarzekał, że nic nie powstrzyma go od ukochanej. To jeszcze bardziej zmartwiło jego ojca.

Następnego dnia Włodzimierz opuścił pałacowe mury z samego rana. Nie chciał widzieć się z ojcem. Pojechał na borowińskie pola i zagajniki. Rozmyślał o Barbarze. Postanowił, że jedynym wyjściem dla tej sytuacji jest potajemny ślub z ukochaną. W ten sposób nikt nie mógłby ich rozłączyć. Po południu pojawiła się Basia. Denhoff przedstawił jej trudną sytuację. Włodzimierz nie chciał dłużej czekać i oświadczył się ukochanej. Ta bez wahania przyjęła oświadczyny. Ustalili, że wkrótce udadzą się do księdza, aby poprosić o udzielenie potajemnego ślubu. Zakochanym wydawało się, że są na dobrej drodze, aby ich związek przetrwał. Po tym spotkaniu Włodzimierz wrócił do pałacu. Tam czekał na niego ojciec i na wstępie zapytał:

* Gdzie żeś był od świtu?
* Pomoc mieszkańcom przyniosłem i rozmowy prowadziłem – odpowiedział.

Po tej wymianie zdań książę Denhoff wiedział, że syn go okłamuje. Dworzanie donieśli mu, że tego dnia, tak jak zawsze pojechał w stronę Borowna. Dowiedział się również, jak ma na imię i gdzie mieszka ukochana syna. Książę martwił się o syna. Cały dzień rozmyślał nad nim. Spodziewał się, że Włodzimierz zrobi wszystko, aby być z Barbarą. Dlatego postanowił posunąć się do ostateczności.

Kolejnego dnia Książę Denhoff wysłał syna wraz z przybyłymi szlachcicami na polowanie do okolicznych lasów. Włodzimierz niechętnie się zgodził. Chciał i tego dnia spotkać się z Barbarą. Nie mógł skupić się na wystrzelaniu zwierzyny. Cały czas tkwiła mu w głowie ukochana. Gdy znajdowali się w Wikłowie, Włodzimierz zamyślonym wzrokiem spojrzał w bok. Ujrzał ogromny kłębek dymu unoszący się w oddali. Nie zastanawiając się, impulsywnie ruszył w stronę pożaru. Gnał koniem najszybciej, jak tylko mógł. Przeczuwał najgorsze. Gdy dojechał do Kruszyny już widział, że tafla ognia obejmuje całe Bogusławice. Na ten widok przeszył go strach i przerażenie. Ruszył w stronę domu Basi. Jadąc, mijał oszołomionych mieszkańców Bogusławic, którzy krzyczeli, że już nikt nie ocalał. W tym tłumie nie było Barbary. Zatrzymał się przed zawalającym się i płonącym domem ukochanej. Zsiadł z konia i rozżalonym wzrokiem patrzył w płomienie. Wiedział, że Basia z rodziną byli w domu. Poczuł ogromny ból. W jednej chwili przypomniał sobie wszystkie chwile, które spędził z ukochaną. Przypomniał sobie również przysięgę, jaką przed sobą złożyli. Czuł pustkę w sobie. Kochał Basię ponad życie, a teraz stał przed miejscem, gdzie umiera. Nie potrafił znieść tego widoku. Uklęknął na ziemi. Wyciągnął pistolet, przymierzył go do skroni i pociągnął za spust.

Ogień w Bogusławicach został ugaszony wieczorem. Ludność zaczęła oceniać straty. Właściwie nie było co oceniać, cała wieś Bogusławice została zrównana z ziemią. Znaleziono również ciało Włodzimierza. Wieść o śmierci syna szybko dotarła do księcia. Denhoff nie chciał początkowo uwierzyć. Dopiero, gdy udał się na miejsce i zobaczył ciało syna, dotarło do niego, że doprowadził do śmierci dziecka. To książę Denhoff kazał spalić całe Bogusławice, a dom ukochanej syna zabarykadować wraz z rodziną w środku. Czuł niewyobrażalny żal do siebie. Stracił jedyne dziecko. Ludność Kruszyny niezwykle poruszyła ta tragedia. Zapanowała żałoba, zaprzestano biesiadowania w karczmach, dziesiątki ludzi zrzeszały się na modlitwie.

Po pogrzebie Włodzimierza, książę nakazał wybudowanie kolumny w miejscu samobójstwa syna. Kolumna ta, choć o połowę krótsza, po dziś dzień stoi w borowińskich polach. Mówi się, że w nocy w okolicach miejsca śmierci młodego Denhoffa pojawia się jego duch na koniu, który poszukuje Basi. Książę Denhoff, aby odpokutować winę za śmierć syna, wybudował w swoim pałacu pustelnię, gdzie spędził resztę życia w odosobnieniu.

Opracowała i spisała Dominika Peszke

I miejsce

Regionalnego konkursu legend, baśni i podań „Legendy Jury” 2019

Legenda opracowana na podstawie publikacji – „Informator o Kruszynie” wydanej przez Towarzystwo Przyjaciół Kruszyny w Kruszynie

WIELKA MIŁOŚĆ

Dawno, dawno temu, w czasach kiedy Kruszyna była jedynie małą wioską, zamieszkiwaną przez chłopów, a ludzie nie zwracali uwagi na to, która była godzina czy dzień tygodnia, pałac w owej wioseczce zamieszkiwał młody książę – Ezekiel Czarnowieyski – dwudziestodwuletni mężczyzna o ciemnych włosach i oczach koloru kwiatów lawendy.

Ludność uważała rodzinę Czarnowieyskich za normalnych ludzi, dobrą rodzinę królewską o błękitnej krwi i czystym sercu, jednak prawda była zupełnie inna. Mimo pozorów, jakie stwarzał młody książę ze swoim ojcem i bratem – pozorów dobrej, kochającej się rodziny – Zeke był adoptowanym synem króla Lucjusza.

Gdy jako malec został porzucony pod bramami pałacu, znalazła go gospodyni i zaniosła królowi. Lucjusz Czarnowieyski był przeciwny z początku adopcji chłopca, jednak zmienił natychmiast zdanie gdy nagle dłonie gosposi, w których maleńki Ezekiel leżał, zaczęły płonąć, a kobieta ze strachu upuściła malca. On jednak zamiast uderzyć o ziemię, zatrzymał się w powietrzu, kilka centymetrów nad nią. Już wtedy było wiadome, że chłopczyk nie jest zwykłym człowiekiem.

W późniejszym czasie okazało się wiele różnych rzeczy z nim związanych. Bardzo szybko się rozwijał, w wieku 8 lat płynnie czytał i pisał, recytował wiersze Jana Kochanowskiego, a gdy osiągnął wiek dorosłości był najlepszym szermierzem wśród rycerzy.

Jego brat, Wiktor, od kiedy tylko pamiętał, nie znosił go za to, że mimo, iż Zeke był od niego młodszy o trzy lata, to on był pierwszy w kolejce do tronu. Nie było co się dziwić, Ezekiel idealnie pasował na króla. Kiedy jednak w chwilach jego złości działy się z nim dziwne rzeczy, m.in. W pokoju unosiły się meble, ręce chłopca płonęły błękitnym ogniem, zaczynał mówić w językach których nigdy się nie uczył, król postanowił dowiedzieć się czegoś o swoim synu. Czym prędzej posłał po księdza.

Gdy kapłan wszedł do pałacu, natychmiast wyczuł obecność nieczystej siły. Gdy jednak spotkał się oko w oko z Ezekielem i uścisnął mu rękę, poczuł ogromny ból w dłoni, na której spoczywał jeszcze dotyk chłopca. Młody książę źle reagował na znaki boskie, kazał ściągać krzyże ze ścian, nie chodził na niedzielne mszy, unikał Boga. Ksiądz po krótkiej rozmowie z królem, stwierdził kim jest jego syn. Okazało się, że Ezekiel Czarnowieyski był potomkiem samego szatana, demonem o niesamowitej sile. Król nie zdawał sobie sprawy jak wielką moc posiada jego przybrany syn i postanowił nie godzić się na propozycję proboszcza i nie oddawać go na egzorcyzmy. Uważał, że młody chłopiec posiada zbyt wielkie umiejętności by ich nie wykorzystać. Nie wiedział bowiem wtedy do jak wielkich czynów będzie w stanie się Zeke posunąć.

W tej samej wiosce żyła przepiękna dziewczyna, Ines Muszawska, czarnowłosa młoda kobieta z szarymi oczyma i ogromnym, dobrym sercem. Ludzie kochali ją za to, jak bezinteresowna była. Mimo iż była sierotą, żyła wychowywana przez starą znachorkę, od której dostała dużo miłości i tę miłością dzieliła się z innymi, Opiekowała się dziećmi, pomagała na polach przy uprawie roli, pielęgnowała konie w stajniach. Każdy, gdy tylko potrzebował pomocy, wiedział, że zawsze może na nią liczyć. Ines była marzycielką, kochała naturę, głównie ptaki i marzyła, by kiedyś latać tak jak bociany i orły. Poza marzeniami związanymi z lotnictwem, przechodząc obok bramy pałacu znanego na całą wieś, cicho wzdychała, wyobrażając sobie siebie w długiej sukni balowej tańczącą w ogromnej sali ze szklanym, by pomóc panu Karczokowskiemu przy grzybobraniu.

Marzeń miała wiele, jednak zawsze odrzucała próżność i myśli o jej dobrach zamieniała na myśli o dobrach innych. Cieplej robiło jej się na sercu, gdy widziała uśmiech i szczęście innych ludzi. Najlepiej czuła się jednak, gdy po całym dniu siadała w bujanym fotelu, przytulała do siebie kota i śpiewała kołysankę, którą pamiętała z czasów, gdy jeszcze żyła jej mama. Pamiętała jej długie blond włosy i zawsze roześmiane, szare oczy. Pamiętała jej ciepłe ramiona, piękne sukienki, które sama szyła, idealną, bladą cerę i te pełne malinowe usta, które zawsze tak kojąco całowały głowę dziewczyny. Ojca nie poznała, dlatego na myśl o nim nic nie czuła, przy myślach o mamie jednak nawet nie zauważała, kiedy po jej policzkach płynęły łzy. Potrzebowała w swoim życiu matki. Mimo iż stara znachorka matkowała jej po trochu, tak jak większość wsi, tej jednak brakowało Pani Muszawskiej, o której cała wieś słyszała i cała wieś kochała. Ines zastąpiła Antoninę, dlatego wieś nie odczuła jej braku, gdy nagle odeszła. Jak umarła? Dziewczyna tego nie pamiętała, a znachorka mówić nie chciała. Ines mimo wszystko była jej za to wdzięczna.

O księciu Ezekielu niewiele słyszała. Jedynie to, że ma zastąpić króla na tronie i że raz do roku pojawia się na grobie jej rodziny. Było to dla niej niespotykane, dlaczego książę mający własne korzenie i rodzinę miałby odwiedzać grób Muszawskich? Kilka już razy chciała podejść i się przywitać, zapytać, jednakże zawsze zbyt bała się odezwać do kogoś z rodziny królewskiej, dlatego też czekała, dopóki najmłodszy Czarnowieyski nie odszedł. Pytała kilka razy znachorki czy ma jakieś więzy krwi z rodziną królewską, jednak zawsze staruszka puszczała to żartem mówiąc, że każdy by chciał. Nie próbowała również dowiadywać się na własną rękę. Bo przecież jakby miała? Nie pójdzie do króla i nie spyta wprost. Jeszcze zostałaby jej wymierzona kara. Wolała żyć w niepewności. Mówiła sobie zawsze: "jeśli mam się dowiedzieć, to się dowiem". Miała rację.

Zeke również niewiele wiedział o Ines, jedynie to, że była córką Antoniny i Józefa Muszawskich. Nie planował również się dowiadywać niczego na jej temat. Była jedną z wielu mieszkanek wsi.

Gdy jednak zobaczył ją przy grobie jej rodziców, zmienił zdanie. Jej uroda sprawiła, że mimo swojej diabelskiej natury, poczuł błogie uczucie zakochania. Siedziała tam nucąc smutną, spokojną melodię. Miała łzy w swoich pięknych, szarych oczach, tak, dobrze znał te oczy. To one prześladowały go w koszmarach. Jej czarne włosy związane były w niedbały warkocz, sukienka pobrudzona była na końcach ziemią. Mimo swojego brudnego wyglądu, Zeke uważał ją za najpiękniejszą z najpiękniejszych. "Pulchritudo", tak ją wtedy nazwał.

Przysiągł sobie wtedy, że choćby w najmniejszym stopniu ją pozna i wynagrodzi jej wydarzenia sprzed kilkunastu lat.

Gdy Ines pomagała znachorce w segregacji ziół, ta poleciła jej wybrać się do pałacu i zanieść królowi zamiówione leki. Ta niechętnie, nie dając po sobie tego poznać, ruszyła czym prędzej w drogę. Gdy weszła na salę tronową, z niedowierzaniem rozglądała się zafascynowana. Król natychmiast uznał ją za roztrzepaną, jednak nie jego przybrany syn. Ezekielowi serce podeszło do gardła, żołądek wypełniły motyle, a palce u dłoni zdrętwiały. Zapatrzył się w dziewczynę, nie mógł uwierzyć, że przyszła do niego, że jest tak niedaleko od niego, że może poczuć jej kwiatowy zapach, dostrzec każdy detal jej twarzy. Dziewczyna, gdy już otrząsnęła się z zachwytu pałacem, zwróciła wzrok ku królowi i dwóm jego synom. Pokłoniła się i przedstawiła, po czym powiedziała z czym przychodzi. Król polecił, by zielarze przyjęli od niej zioła, jednak Ezekiel wyrwał się jak ze snu i stwierdził że sam zaprowadzi ją do szklarń. Lucjusz przystał na propozycję syna, Wiktor zatarł ręce. Jeśli jego brat zakochałby się w pasierbicy znachorki, wybrałby ubogie życie i tron przypadłby jemu. Znał nieco tę dziewczynę, wiedział, że Ines nie chciałaby żyć w pałacach, była zbyt skromną osobą i za bardzo kochała ludzi z wioski. W końcu nie zostawiłaby jedynej rodziny jaką miała. Ezekiel czym prędzej poszedł z dziewczyną do szklarń, jednak wybrał najdłuższą drogę z możliwych. Na początku oboje byli sobą onieśmieleni, później rozmawiali jak starzy przyjaciele. Gdy Ines oddała zielarzom lekarstwa, Zeke poprosił o spacer po lasach przylegających do pałacu. Dziewczyna, jak można się domyślić, z chęcią przystała na propozycję. Rozmawiało im się niesamowicie, jakby znali się od zawsze. Niczym Romeo i Julia przyrzekli sobie kolejne spotkanie, Ezekiel ucałował dłoń, tym rozkochał w sobie Ines. Swoją dobrocią, uczuciem, nieodpartym wrażeniem bycia czarującym i idealnym człowiekiem zachwycił dziewczynę. Wtedy jeszcze nie mówił jej o niczym związanym z jego prawdziwym ja, powiedział jedynie krótką historię tego, jak stał się członkiem rodziny królewskiej. Ines oczarowana jego historią, również się otworzyła, opowiedziała o braku rodziców, o trudnym dzieciństwie i pierwszy raz tak naprawdę w zupełności komuś zaufała i się otworzyła. Ezekiel zdawał się czuć jej emocje i ból, uczestniczyć w jej wspomnieniach, a przy każdym wspomnieniu o Antoninie, wykrzywiał twarz w grymasie. Dziewczyna nie zwracała na to uwagi, to że ktoś jej tak słuchał, to było dla niej jak piękny prezent. A pocałunek w policzek, który podarowała mu na pożegnanie, był dla niego darem z samych niebios.

W późniejszym czasie znowu się spotykali, jednak bez wiedzy znachorki i króla. Oboje nie chcieli tego związku. Król obawiał się że Ezekiel zakocha się w prostaczce i porzuci obowiązki związane z byciem królem, znachorka wiedziała o młodym księciu więcej niż powiedziała dziewczynie. Uważała, że ten związek byłby zbyt przykry dla obu stron. Niestety, miała kolejny raz rację.

Ines i Zeke w krótkim czasie pokochali się. Nie wyobrażali sobie bez siebie życia. Bali się ujawnić , jednak planowali zrobić to na kilka miesięcy przed ich ślubem. Ezekiel oświadczył się dziewczynie w jej urodziny oraz w dzień rocznicy śmierci jej matki. Ines zawsze uważała ten dzień za bardzo smutny, wtedy był to dla niej najpiękniejszy prezent. Czuła się naprawdę szczęśliwa i kochana. W ramionach Zeke'go odnajdywała coś, czego nikt nie potrafił jej dać od śmierci matki, miłość, spokój, bezpieczeństwo i nadzieja. Tego szukała całe życie.

W końcu, gdy zostało kilka miesięcy do ślubu tej dwójki, najpierw poszli z tą informacją do Wiktora. Ten uradowany polecił im, by poinformowali o tym resztę dopiero po ślubie. Wiedział bowiem jak zareaguje ojciec i broń Boże nie chciał dopuścić, by ta dwójka odwołała zaślubiny. Zbyt wielki cel miał w tym, by teraz się to wszystko popsuło. Tak więc też zrobili, Ezekiel nie chciał się zgodzić na ślub kościelny z niewiadomych dla Ines przyczyn, jednak jako, że kochała swojego narzeczonego, zgodziła się na połączenie ich węzłem małżeńskim na łące przez starego, dobrego przyjaciela Zeke'go, Noctisa. Ten udzielił im ślubu i wkrótce po tym pojawili się w pałacu. Ines uprosiła króla o ściągnięcie również znachorki na rozmowę, chcieli zrobić to za jednym zamachem. Mieli opracowany plan, jeśli zareagowaliby pozytywnie, byłoby to najlepsze wyjście, jeśli jednak byliby przeciwni, chcieli uciec i założyć rodzinę w górach, daleko od Kruszyny, Ines wiedziała, że wiążę się to z opuszczeniem jej ukochanej wioski, rodziny, jednak miłość do Ezekiela zwyciężyła. Gdy król i znachorka zostali o tym poinformowani, zachowali się w sposób, w jaki młode małżeństwo nie podejrzewało. Król wstał i podszedł do syna, po czym spoliczkował go tak, że Zeke upadł na ziemię. Zrobił to jeszcze raz i jeszcze raz, póki ten nie zaczął płonąć na niebiesko. Ines była przerażona. Król chciał przez to pokazać dziewczynie, kogo pokochała, będąc pewnym, że nie wiedziała kim jej ukochany był. Ta, mimo poznania jego prawdziwego oblicza, nie zmieniła swoich uczuć, nadal kochała swojego męża, lecz bała się go niemiłosiernie. Próbowała sobie wtedy tłumaczyć na wszystkie sposoby dlaczego jej o tym nie powiedział, jednak po jakimś czasie z zamyśleia wyrwała ją jej macocha. Powiedziała jej wtedy dlaczego młody Czarnowieyski pojawiał się co rok na grobie jej rodziców. Prawdą było to, że gdy w wieku 4 lat wymknął się z zamku i nie kontrolował jeszcze swoich mocy, Antonina Muszawska znalazła go płaczącego i wyziębionego, Zabrała go czym prędzej do domu i położyła go obok maleńkiej Ines. Była sama, ponieważ jej mąż zginął na wojnie. Rozpoznała w chłopcu syna króla, więc przysięgła sobie zaopiekować się chłopcem i z samego rana odwieźć go do zamku. Ten jednak miał wobec kobiety inne plany, Ezekiel nigdy nie miał matki, a czując ciepło i dobro pochodzące od Antoniny, przytulił się do niej i tak zasnął. Kobieta zasnęła razem z nim, jednak już się nie obudziła, bowiem ona, wraz z chatą w której mieszkała spłonęły. Cudem Ines przeżyła, być może Ezekiel uratował ją, widząc, co zrobił. Nie jest to wiadome. Rano straże pałacowe znalazły spaloną chatę. Młody demon został oddany z powrotem do króla, dziewczynie szukano domu i wtedy znalazła się znachorka. To Ezekiel zabił matkę Ines. To on był powodem jej śmieci i co roku przychodził w urodziny ukochanej na grób jej matki z powodu wyrzutów sumienia.

Młody książę płakał rzewnymi łzami, widać było, że żałował popełnionego czynu. Był przecież nic nie winnym malcem, a jednak zabił jej matkę. Był to czyn, który Ines wybaczyć chciała, ale nie umiała. Zapytała ukochanego, czy to, co powiedziała jej macocha było prawdą. Gdy chłopak potwierdził, ta wyszła powoli z pałacu i poszła przed siebie. Zeke pierwszy raz wtedy patrzył na kogoś z nienawiścią. Chciał biec za nią i błagać o wybaczenie, jednak król go ostrzegł, że jeśli ten za nią pobiegnie, dziewczyna straci życie. Ezekiel wyszedł z sali tronowej i poszedł do swojej komnaty, serce kazało mu za nią biec mimo wszystko, zabrać ją jeszcze dziś z tej wioski i spełnić ich marzenie o domu w górach, jednak rozum kazał mu zostać. Kolejny raz wybrał obie możliwości.

Kiedy zapadł zmrok, a król wraz z całym pałacem pogrążyli się we śnie, Ezekiel wymknął się w nocy i pobiegł do domu znachorki, w którym mieszkała jego ukochana, by uciec z nią jak najdalej. Zastał jednak widok, który złamał mu serce. Cała chata płonęła ogniem, którym niegdyś on zabił matkę Ines. Wołając ukochaną, przerażony wbiegł w płomienie i szukał dziewczyny. Niestety, było za późno. Zeke począł szlochać niczym uderzone dziecko, stracił najważniejszą osobę w jego życiu. W momencie, w którym się uspokoił, poszedł do składziku znachorki i zabrał stamtąd fiolkę wody święconej. Przed wejściem jednak przypomniał sobie, co zobaczył, we framudze drzwi na gwoździu zawieszony był kawałek porwanego sztandaru jego ojca. Ezekiel wiedział już kto dopuścił się tej zbrodni. Przeklął Lucjusza Czarnowieyskiego, położył się w płomieniach u boku ukochanej i wypił duszkiem całą fiolkę wody święconej. Nad ranem ludzie znaleźli jedynie popiół i dwie pobrudzone, lekko stopione obrączki.

Król Czarnowieyski został stracony równo 23 dni po śmierci jego przybranego syna w czasie walki w obronie pałacu. Wiktor Czarnowieyski, brat Ezekiela, uciekł z posesji i wyjechał na wschód. Pałac został przejęty przez Kacpra Denhoffa, do dziś widniejącego jako pierwszy właściciel pałacu. Do dziś, za starym młynem na jednej ze starych brzóz jest wyryty napis: "Nam amare vera, 1635 rok".

Opracowała i spisała Maja Borowska

II miejsce

Regionalnego konkursu legend, baśni i podań „Legendy Jury” 2019

Legenda opracowana na podstawie publikacji – „Informator o Kruszynie” wydanej przez Towarzystwo Przyjaciół Kruszyny w Kruszynie

ODWAGA DENHOFFA I ŚMIERĆ BAZYLISZKA

Dawno, dawno temu w niewielkiej wiosce Kruszyna mieszkał odważny Kacper Denhoff. Pewnej nocy mężczyzna zauważył, że z jego pastwisk zginęło dużo owiec. Nie spodziewał się on wtedy, że wkrótce zaczną ginąć także ludzie.

W ciągu kilku kolejnych nocy tajemniczo zniknęło kilkanaście osób. Wśród mieszkańców pojawiła się plotka, że za zaginięcia odpowiada Bazyliszek. Kacper Denhoff podejrzewał, że stwór przesiadywał w piwnicy opuszczonego dworu. Od pewnego czasu ludzie mówili, że dochodzą stamtąd przeraźliwe dźwięki. Jeden z wieśniaków nie wierzył w opowieści krążące po wsi. Postanowił udać się do tajemniczego budynku. Tuż po jego wejściu do dworu rozległ się głośny ryk, a mężczyzna już nigdy stamtąd nie wrócił.

Kacper którejś nocy zakradł się do piwnicy potwora, gdy ten spał. Mężczyzna musiał być bardzo ostrożny. Wystarczył jeden niewłaściwy ruch, aby obudzić bestię. Kacper mógł zobaczyć na własne oczy jak kończy się z nią spotkanie. We wnętrzu pomieszczenia znalazł ofiary jego spojrzenia. Bazyliszek przemienił je przed pożarciem w skałę. Kacper musiał się spieszyć, żeby ich uratować. W ciemnej piwnicy ciężko było zobaczyć potwora. Denhoff słyszał jedynie jego ciężki , długi oddech. Mężczyzna z ukrycia strzelił zatrutą strzałą w kierunku Bazyliszka. W tym samym momencie w piwnicy rozległ się straszny ryk stwora. Podobno słychać go było na kilka okolicznych wsi. Kacper czatował w kryjówce całą noc, aby upewnić się, że zabił bestię. Dopiero nad ranem był pewny, że tak się stało. Nie słyszał już oddechu Bazyliszka. Udało się też uratować jego ofiary, które przemieniły się zaraz po śmierci stwora.

Kiedy wiadomość rozeszła się po okolicy, mieszkańcy zdecydowali o zburzeniu dworu. W jego miejscu ustawiono pomnik upamiętniający odwagę Denhoffa. Do dziś można podziwiać go, wjeżdżając do wsi Kruszyna.

Opracował i spisałMikołaj Bednarz

III miejsce

Regionalnego konkursu legend, baśni i podań „Legendy Jury” 2019

Legenda opracowana na podstawie publikacji – „Informator o Kruszynie” wydanej przez Towarzystwo Przyjaciół Kruszyny w Kruszynie